

BARTOSZ ORŁOWSKI

OPOWIADANIA NIE TYLKO WROCŁAWSKIE



TOM II
W ŚWIECIE SKRZATÓW

OPOWIADANIA NIE TYLKO WROCŁAWSKIE

Tom II

W świecie skrzatów

Bartosz Orłowski

OPOWIADANIA NIE TYLKO WROCŁAWSKIE

Tom II

W świecie skrzatów

Wrocław 2020

[Kup książkę](#)

Redakcja:
Monika Mielcarek (red-kor)

Ilustracje i projekt okładki:
Kamil Ćwieląg

Skład i łamanie:
Maciej Torz

Wszelkie prawa zastrzeżone
© Copyright Bartosz Orłowski, 2020
All rights reserved

ISBN 978-83-954654-2-0 (dla wersji elektronicznej)
ISBN 978-83-954654-3-7 (dla wersji drukowanej)

e-mail: info@bajamy.pl

Wrocław 2020

[Kup książkę](#)

Spis treści

Prolog	7
Część druga. Skrzaty	
Wstęp. Skąd się wzięły skrzaty?.....	9
Karta I	
Wzgórze Miłości czy Wzgórze...?	11
Karta II	
Dzwon Grzesznika	15
Karta III	
Dlaczego Pod Złotym Psem straszy?	21
Karta IV	
Zaginione rodzeństwo	29
Karta V	
Kamieniczki Jaś i Małgosia	39
Karta VI	
Biała dama	47
Karta VII	
Most Pokutnic	59
Karta VIII	
Mennica i prawo bicia monety	69
Karta IX	
Most Miłości czy most Westchnień?.....	81

Karta X	
Nieuczciwa przekupka	91
Karta XI	
Pod Starą Szubienicą.....	99
Karta XII	
Przyjazd katów i strach mieszkańców przed masowymi egzekucjami	111
Karta XIII	
Co było kiedyś na terenie Parku Skowroniego?	119
Karta XIV	
Kto pierwszy zdobędzie futro?	129
Karta XV	
Wojna piwna	139
Karta XVI	
Bunt mieszczan	149
Karta XVII	
O pannach zamienionych w kamień	161
Karta XVIII	
Zamalowane okno.....	169
Karta XIX	
Rozkradziony skarb.....	177
Karta XX	
Katastrofa budowlana w pewnym kościele	185
Karta XXI	
Problemy z miejską kanalizacją.....	197
Karta XXII	
Topielec w młynie i problem z mąką	209
Karta XXIII	
Połowanie na czarownice	221

Prolog

Jak wiele opowiadań i bajek inspirowanych jest faktami? Jak wiele z nich jest ciekawych, przyciągających uwagę i pozostających w pamięci? Czy więc należy trzymać się autentycznych wydarzeń czy można wybrać jedną z ich wersji?

W książce, którą właśnie trzymacie w rękach, zebrałem dwadzieścia trzy opowiadania luźno związane, a raczej inspirowane Wrocławiem i okolicami miasta. To opowiadania, których bohaterami są sympatyczne krasnoludki, ale też mniej życzliwe skrzaty. Występują tu także stworzenia lepiej nam znane, czyli spotykane na co dzień. Wszak kto z Was nie widział na przykład kota. Część historyjek jest niejako tłem lub uzupełnieniem wydarzeń, które miały – bądź mogły mieć – miejsce dawno, dawno temu. A reszta? Cóż, w każdej legendzie może być ziarno prawdy, więc dlaczego nie w bajkach?

Tom drugi skupia się na mało życzliwych istotach zwanych skrzatami. Jak uprzykrzały codzienność ludziom i jaki mogły mieć wpływ na ich życie? Posłuchajcie.

KARTA III

Dlaczego Pod Żłotym Psem straszy?



Chyba z większością miast, miasteczek oraz wsi związana jest chociażby jedna legenda. Może ona dotyczyć na przykład założenia osady, a jeżeli jest to duży gród, zazwyczaj mamy do czynienia ze smokiem. Zamki też mają swoje historie i nie wiedzieć czemu sporo z nich tyczy się... białych dam. Popularne są również opowieści o miejscach, w których straszy. Nieprzypadkowo zazwyczaj chodzi o opuszczone obiekty, ruiny tudzież lokalizacje, gdzie nic nigdy nie rośło i nie wyrośnie, zwane uroczyskami. We Wrocławiu jedną z najbardziej znanych budowli, w której ponoć

straszy, jest kamienica ulokowana na samym rogu Rynku, nazywana Pod Złotym Psem. Posłuchajcie.

Początek wydarzeń, o których będzie tutaj mowa, miało miejsce niedługo po tym, jak Rynek uzyskał swoją obecną formę. Wrocław zaczął dynamicznie się rozwijać. Handel kwitł, a mieszczenie i kupcy budowali coraz większe kamieniczki wokół głównego placu handlowego. Krasnoludki przyglądały się temu wszystkiemu z zaciekawieniem, od czasu do czasu pomagając ludziom, jak miały to w zwyczaju. Pracy miały przy tym co niemiara, podobnie jak... skrzaty. Te jednak przede wszystkim psociły, uprzykrzając się również mieszkańcom miasta. Do ich ulubionych figli należało brudzenie fasad budynków, smarowanie narzędzi gęsim smalcem czy też przestawianie lub chowanie przydatnych w pracy przedmiotów. Psikusów było bez liku, przez co kilka osób zwróciło się do kasztelana, aby wystawił więcej patroli straży miejskiej w celu złapania żartownisiów. Nie na wiele się to zdało. Częstotliwość psot zmalała, ale nikogo nie złapano. Po jakimś czasie ludzie po prostu przyzwyczaili się do takiego stanu rzeczy.

Lata mijały. Budynki usytuowane przy rynku nabrały pięknych kolorów oraz kształtów. Można było podziwiać kunsztowne zdobienia wokół okien oraz ciekawe portale okalające drzwi wejściowe. Do miasta ściągali liczni artyści, aby odbić swoje piętno na choćby jednej fasadzie wybranej budowli. Dlatego też praktycznie niemożliwe jest znaleźć podobne do siebie kamieniczki. Każda wyróżniała się osobliwym stylem czy ubarwieniem.

Jeden z takich domów ulokowany był na samym brzegu przy północno-wschodnim rogu placu targowego. Była to budowla w kolorze łososiowym ze zdobionym wejściem oraz oknami. Nad głównymi drzwiami umieszczono połączoną płaskorzeźbę psa –

element, który niewątpliwie wyróżniał domostwo, choć przysparzał właścicielom wielu problemów. Chodziło przede wszystkim o częste czyszczenie ozdóbki, który ktoś upodobał sobie jako podstawę swojej „sztuki”. A to głowa psa zmieniła kolor na czarny od sadzy, a to cała figurka nabierała ciemnego odcienia. Właściciele wyznaczyli nawet nagrodę za ujęcie żartownisia, ale nawet to nie przyniosło pożądanych skutków.

W końcu pewnego dnia pojawił się u nich młodzieniec imieniem Eryk. Stwierdził, że wie, kto dokucza gospodarzom, i za odpowiednią opłatą pozbędzie się natręta. Kiedy cena za usługę została ustalona, młodzian poprosił wszystkich o opuszczenie budynku na dwa dni i dwie noce, a sam zaszył się na strychu.

Nie czekał długo. Już pierwszego wieczoru usłyszał skrzekliwe „Hi, hi, ha, ha”, dobiegające z półpiętra. Wyrzwał zza rogu i ujrzął niewielką, przygarbioną postać szczelnie otuloną płaszczem. Odwrócona była tyłem, ale doskonale wiedział, z kim ma do czynienia. Wyraźny zapach kopru zdradzał obecność skrzata. Był przygotowany na takie spotkanie. Po cichu przyniósł niewielką klatkę i postawił ją tuż przy ścianie. Następnie sięgnął do kieszeni, w której miał całkiem sporą ilość malutkich kamieni rzecznych, zwanych otoczakami.

– Witaj – zaczął niby od niechcenia. – Miło cię spotkać – dodał, uśmiechając się.

Skrzat odwrócił się i spojrzał na młodzieńca, odwzajemniając uśmiech.

– Powitać szanownego pana. Hi, hi, ha, ha – odpowiedział.

– To chyba ty uprzykrzasz się mieszkańcom – kontynuował Eryk, od czasu do czasu rzucając na podłogę po jednym kamyczku.

– Może to ja, hi, hi, a może nie ja, ha, ha – odparła istotka, podnosząc upuszczone otoczaki.



– Widzę, że lubisz dobrą zabawę, a może także zagadki? Wiesz może, jak powstają przedmioty, które tak skrupulatnie zbierasz? – zapytał młodzieniec.

– Pewnie, że wiem – zaskrzeczał oburzony skrzat, a jego oczy nabrały bardziej żółtej barwy. – Wyrzuca je rzeka i każdy może je pozbiierać. Hi, hi, ha, ha.

– A dlaczego są takie gładkie?

– Woda je obmywa i toczy w dół rzeki – odparł skrzat bez chwili wahania. – Musisz spytać o coś trudniejszego – dodał, kontynuując zbieranie kamyczków.

– A wiesz może, dlaczego skrzaty bez zastanowienia zbierają małutkie otoczaki? – zapytał Eryk.

– Oczywiście, że w tak, hi, hi, ha, ha, taka już nasza natura. Lubimy zbierać różne rzeczy – zarechotała istotka, powoli zbliżając się do ukrytej za rogiem klatki.

– Prawie dobrze – odrzekł młodzian z uśmiechem. – Lubicie zbierać kamyczki, ponieważ później używacie ich do waszych figli, jak na przykład dorzucenie ich do worków ze zbożem. Potem ich okruchy trafiają do mąki, a następnie do chleba i na koniec zgrzytają pomiędzy zębami osób, które spożywają takie pieczywo. Macie wtedy dobry ubaw, jak sądzę.

– Oj, mamy, mamy – stwierdził skrzat, uśmiechając się złowrogo. – Ale większa zabawa jest wtedy, kiedy młodzian taki jak ty sądzi, że da radę nas przechytrzyć prostymi sztuczkami.

Wtem trzasnęły drzwi na piętrze niżej i dało się słyszeć tupot wielu małych stóp biegnących po schodach ku górze.

– Lubimy ten dom – rzuciła groźnie osóbką, a oczy jeszcze bardziej roziskrzyły się na żółto. – Nikt nas stąd nie przegoni, a już na pewno nie ty.

Eryk, niewiele myśląc, rzucił się do izby, w której początkowo przebywał. Miał co prawda przewagę wzrostu, ale nie wiedział dokładnie, ile skrzatów zadomowiło się w budynku. Chwycił swoją torbę leżącą na drewnianym krześle i ruszył ku drugim drzwiom. Liczył, że uda mu się zbiec drugimi schodami. Wiedział doskonale, z kim ma do czynienia. Wiedział też, że w pojedynkę nic nie zdziała. Drewno zajęczało pod jego stopami, kiedy przemierzał kolejne metry pokoju. Szarpnął za klamkę. Jego głośny oddech oraz tupot stóp zagłuszały inne dźwięki. Spojrzał w mroczny korytarz. Jeszcze kilka metrów i znajdzie się na wąskiej klatce schodowej, potem tylko kilkadziesiąt stopni i otwarta przestrzeń. Tam będzie bezpieczny.

Chwycił za poręcz, wykonał krok i poczuł, jak traci równowagę.
– Miłego spadania! Hi, hi, ha, ha – usłyszał jeszcze i runął
w dół.



Paru przechodniów zaniepokojonych dziwnymi dźwiękami dochodzącymi z wnętrza ciemnego budynku weszło nieśmiało do środka. Wcześniej słyszeli trzask drzwi, skrzypienie drewnianej podłogi i w końcu głośny hałas, przywodzący na myśl odgłos upa-

dania. Na podłodze tuż przy pierwszym stopniu ujrzeli leżącego młodzieńca.

Po dwóch dniach i dwóch nocach właściciele kamienicy wrócili do domu. Emblemat nad wejściem był, ku ich zaskoczeniu, w nienaruszonym stanie. W środku spostrzegli jedynie wyrwaną poręcz u szczytu schodów oraz kilka kamyków na strychu i piętrze. Młodzieńca, który obiecał im rozwiązanie ich problemu, nigdzie nie było. Nie zgłosił się także po przyrzeczoną zapłatę.

Po jakimś czasie właściciele kolejnych budynków zaczęli twierdzić, że nocą mogą usłyszeć niepokojące dźwięki trzaskających drzwi, skrzypienie podłóg oraz dziwny odgłos upadających kamyczków. Czyżby duch Eryka nadal próbował przechytrzyć skrzata?

KARTA IV

Zaginione rodzeństwo



W okolicach Wrocławia można znaleźć wiele interesujących miejsc. Jednym z nich niewątpliwie jest Ślęża. Od wieków samotny szczyt górujący nad pobliskimi równinami uważany był za miejsce magiczne. To tutaj czczono pogańskich bogów Słońca i Księżycy. Wzniesienie to uznawane jest także za jeden z trzech energetycznych punktów Ziemi. Z miejscem tym są w dodatku związane liczne podania i legendy. Jedna z nich mówiła o poszukiwaniach kwiatu paproci. Historia ta znana była od wielu lat i pewnego dnia usłyszało o niej pewne rodzeństwo: Jaś i Małgosia. Chcecie wiedzieć, co się wtedy stało? Posłuchajcie.

Jak już wspomniałem, dawno temu żyło we Wrocławiu rodzeństwo: Jaś i Małgosia. Ach, a jakże by inaczej. W końcu są to najbardziej znane imiona bajkowych dzieci. Na tym jednak kończą się podobieństwa. Były one oczkiem w głowie pewnego bogatego kupca. Nie cierpiały biedy, były kochane, a jedynym ich zmartwieniem mógł być nadmiar wolnego czasu. Z tym jednak radzili sobie w bardzo osobliwy sposób. Zamiast pomagać w domowych obowiązkach, szukali przygód. A to wyprawa na najwyższą z kościelnych wież, a to przeszukiwanie piwnic kamienic w nadziei na znalezienie skarbu, a to poszukiwanie legendarnego smoka Strachoty.

Pewnego dnia rodzeństwo postanowiło pomyszkować w księgach ojca przechowywanych na strychu. Oprócz starych rozliczeń finansowych nie znaleźli w nich jednak nic interesującego. Kiedy już mieli opuszczać pomieszczenie wypełnione niezliczonymi pajęczynami, zwrócili uwagę na niewielki rozpadający się ze starości regał. Znajdowało się na nim kilka woluminów nadgryzionych przez czas, myszy i kurz oraz osobliwy starodruk. Delikatnie pochwycili tomisko, otrzepali z pyłu i po cichu zeszli do swojego pokoju. Zbliżała się pora obiadowa, więc rodzeństwo postanowiło zbadać znalezisko po posiłku.

Po spożytej wieczerzy, nie czekając na podwieczorek, szybko wrócili do swojej izby. Wyciągnęli schowaną uprzednią księgę i zaczęli się jej przyglądać. Była solidnie oprawiona skórą, aczkolwiek nie widzieli tytułu. Otworzyli ją i wtedy trochę zawiedzeni przeczytali: „Wierzenia przedchrześcijańskie. Prawdy i mity”. Przerzucili kilka kolejnych stron, jednak – jak wskazywał tytuł – było to opracowanie dotyczące dawnych obrządków. Rozczarowani stwierdzili, że nie jest to nic ciekawego, więc zaczęli przekomarzać się, kto powinien odnieść znalezisko na miejsce. Po

kilku chwilach postanowili, że o tym zadecyduje los, czyli rzut kostką. Komu wypadnie mniej oczek, ten przegrywa i idzie na strych. Jaś jako młodszy rzucił pierwszy. Wypadło jedno oczko. Małgosia zadowolona z takiego obrotu sprawy z uśmiechem rzuciła zaraz po nim. O mały włos nie byłoby remisu. Na kości wypadły dwa oczka.

– Miłego spaceru wśród pajaków, braciszku – zachichotała.

Jaś, niewiele myśląc, chwycił księgę, która od razu wysliznęła mu się z dłoni. Zdenerwowany podniósł ją z podłogi i w tej samej chwili spostrzegł, że coś wypadło ze środka. Był to złożony arkusz pożółkłego papieru. Chłopczyk aż krzyknął z radości i zaczął go szybko rozwijać.

Kiedy rozłożyli kartkę, okazało się, że mają przed sobą mapę krótko opisaną dużymi literami składającymi się w napis: „Kwiat paproci”. Tę legendę znali doskonale, w końcu mówiła o sławie i bogactwie dla osoby, która odnajdzie rzeczony kwiat paproci, co było niezwykle trudne, ponieważ kwitł on tylko przez kilka godzin w noc letniego przesilenia. Zrobili wielkie oczy, gdy rozpoznali znajome im otoczenie pobliskiej góry. Bardzo często bywali tam bowiem u rodziny. Zawsze traktowali to jako swego rodzaju karę. Twierdzili, że ojciec wysyła ich tam, aby od nich odpocząć i spokojnie prowadzić interesy. Tym razem jednak wprost nie mogli się doczekać kolejnego wyjazdu, który wypadał właśnie w okolicach najdłuższego dnia w roku.

W dodatku nie musieli długo czekać. Po dwóch tygodniach siedzieli już na wozie, który miał ich zawieźć do dziadków mieszkających nieopodal jedynej góry w okolicy – Ślęzy. W trakcie podróży powtórzyli raz jeszcze plan wyprawy. Musieli przede wszystkim ustalić, co robić, by nie wzbudzać podejrzeń, że coś planują, oraz przygotować się na nocne poszukiwania.



Domek, do którego zmierzali Jaś i Małgosia, leżał blisko głównego traktu. Był to klasyczny, dwuizbowy drewniany budynek z kominem i kuchnią pośrodku. Obok kręciło się kilka kur i bacznie przyglądający im się kogut. Dwa koty leżały tuż przy drzwiach wejściowych, leniwie spoglądając na nowo przybyłych. Gości przywitały dwie starsze, ale pozostające w dobrej formie osoby. Po wymianie uprzejmości cała czwórka weszła do środka, podczas gdy kocury wróciły z kolei do drzemki.

Rodzeństwo dni do letniego przesilenia spędzało na poznawaniu okolicy oraz drobnych pomocach przydomowych. Wyjątkowo chętnie zbierali chrust. Oczywiście nie bezinteresownie. Sprawdzali dzięki temu leśne dukty i ścieżki wydreptane przez zwierzęta.

W końcu nadszedł wyczekiwany dzień i najkrótsza noc w roku. Jaś i Małgosia mieli sporo czasu na ostatnie przygotowa-

nia. Zdecydowali, że wymkną się ukradkiem po kolacji, kiedy znacznie zmierzchać. Wcześniej ukryli trochę jedzenia w kieszeniach – w końcu nie wiedzieli, ile czasu zajmą im poszukiwania. Jak postanowili, tak uczynili. Dziadkowie szybko usnęli, zmęczeni całodzienną pracą, więc bez przeszkód opuścili domostwo. Przemknęli tyłem wzdłuż ogrodu do pobliskiego zagajnika i stamtąd ruszyli ku górze.

Droga wiodła dobrze znanym im traktem, a księżyc rozświetlał im drogę, dzięki czemu szybko pokonali pierwszy kilometr trasy. Problemy zaczęły się, kiedy weszli w gęstwinę. Światło odbijane przez Srebrny Glob nie docierało już bez przeszkód do podnóży drzew. Rodzeństwo dopiero teraz zorientowało się, że nie mają nawet krzesiwa, aby rozpałić ogień i rozeznać się w sytuacji. Znajome za dnia ścieżki teraz przypominały ciemne tunele.

– Musimy zawrócić – stwierdził przerażonym głosem Jaś. – To jednak był zły pomysł – dodał, a w bladym świetle księżyca na jego policzkach zaskrzyły pierwsze łzy.

– Cicho! – wyszeptała Małgosia, zakrywając usta chłopczykowi. – Słyszysz to?

Niedaleko przed nimi zaszeleściło w krzakach i dało się słyszeć trzask łamanej gałązki.

– Poszukiwacze kwiatu, hi, hi, ha, ha – dobiegł ich skrzekliwy głos. – Podążajcie śladem światła – dodał tajemniczo. W tej samej chwili spostrzegli w głębi delikatnie majaczące światółko.

Dzieci wiedziały, że zgodnie z mapą nie są jeszcze na miejscu, ale z braku lepszego pomysłu zaczęły powoli iść ku odblaskowi. Wiedziały, że legendarny kwiat paproci jest niezwykle jasny i według podań powinien świecić w nocy. Do kogo jednak należał tajemniczy głos?

– Musicie kierować się ku światełku – usłyszały ponownie.
– Na końcu drogi czeka na was nagroda – piękny kwiat. Hi, hi, ha, ha! – Wydawało im się, że zagadkowy głos cały czas podąża przed nimi.

Po jakimś czasie rodzeństwo stwierdziło, że kompletnie nie wiedzą, gdzie są ani ile czasu minęło, odkąd opuścili dom. Jedno, czego byli pewni, to to, że się zgubili i że są już potwornie zmęczeni.

– Dalej, dalej – głos nie dawał za wygraną. – Nie zatrzymujcie się. Chwała i bogactwo są już niedaleko... Hi, hi, ha, ha!

Jaś i Małgosia szli dalej. W końcu zauważyli, że dziwne światełko powoli przygasa, aż wkrótce całkiem zniknęło. Wtedy stwierdzili, że zaczęło świtać. Przerazili się jeszcze bardziej. Za chwilę dziadkowie odkryją ich nieobecność, więc jak wrócą, będą mieli kłopoty. Błakali się jeszcze chwilę, do momentu aż Jaś powiedział z płaczem:

– Jestem głodny i chcę do domu!

Dziewczynka przypomniała sobie, że mają ze sobą trochę prowiantu, na który składały się dwa jabłka, dwie gruszki, garść orzechów oraz dwie bułki. To wszystko musiało wystarczyć im do czasu powrotu. Usiedli nad pobliskim strumieniem i zjedli wszystko oprócz gruszek, które zostawili sobie na później. W końcu nie wiedzieli, ile czasu będą jeszcze kluczyć po gęstwinie. Z przykrością zorientowali się, że nie rozpoznają okolicy, a las, który wcześniej i za dnia wydawał się miły i całkiem przejrzysty, teraz przerażał swoją niedostępnością. W górze królowały korony świerków, dębów i topoli, a w dole pełno było czeremchy i innych krzewów, których nie byli w stanie zidentyfikować. Na domiar złego nogi parzyły pokrzywy i kaleczyły jeżyny, niekiedy ukryte pod dużymi liśćmi paproci. Jedynie świergot ptaków, niesiony delikatnym wiatrem, dodawał im choć trochę otuchy.



– Musimy iść w dół strumienia – stwierdziła Małgosia. – Być może dojdziemy do jakiegoś rozlewiska lub rzeki, a tam będą rybacy, którzy na pewno nam pomogą – dodała pewnie, starając się pocieszyć młodszego braciszka.

Ruszyli. Przedzierali się przez gęstwinę, co jakiś czas omijając zwalone i zmurszałe pnie drzew. Praktycznie ze sobą nie rozmawiali. Las mówił do nich śpiewem ptaków i szumem liści. Po kilku godzinach, jak im się wydawało, dotarli do małej polany, na której skraju znajdowała się drewniana szopa. Postanowili odpocząć w jej wnętrzu. Może budynek jest używany przez kogoś, kto pokieruje ich do domu?

Weszli do środka. Wewnątrz sporo było przedmiotów, które świadczyły o tym, że domek najpewniej służył drwalom. Dużo tu było starych siekier oraz pił, niedbale porozrzucanych po podłodze. Oprócz niewielkiego stołu, na którym znajdowała się na wpół wypalona świeca i krzesiwo, oraz dwóch krzeseł nie było w niej nic więcej.

– Tutaj odpoczniemy chwilę i pomyślimy, co dalej – zarządziła Małgosia.

Zebrali trochę trawy, którą rozłożyli pod jedną ze ścian i położyli się obok siebie. W nocy nie zmrúżyli oka, a zmęczenie już od dawna dawało znać o sobie. Szybko zasnęli.

Obudziły ich dźwięk drobnych stóp biegających po szopie i chrapliwy śmiech:

– Hi, hi, ha, ha.

Podnieśli się zaspani i spostrzegli, że jest kompletnie ciemno. Dziewczynka po omacku powoli dotarła do stołu i odpaliła zostawioną tam świeczkę.

– Musicie iść dalej, mali poszukiwacze – usłyszała głos z kąta.
– Inaczej zostaniecie tu na zawsze... Hi, hi, ha, ha.

Wzdrygnęła się, kiedy podszedł do niej chłopczyk i chwycił ją za dłoń.

– Może poczekamy do świtu i wtedy ruszymy w drogę? – proponował roztrzęsiony.

Usiedli więc na krzesłach i czekali. Chwilę później tajemnicze głosy zamilkły. Zrobiło się kompletnie cicho. Nawet wiatr jakby ucichł. Doszły ich dźwięki łamanych gałęzi, a delikatne światło kilkakrotnie zamajaczyło między szparami ściany szopy. Podnieśli się z siedzisk i nasłuchiwali. Trwożnie otworzyli drzwiczki budynku. Odgłosy robiły się coraz głośniejsze. Na drugim brzegu polanki ujrzeli cienie ludzi kroczących z pochodniami. Wy-

skoczyli z szopy i zaczęli krzyczeć do idących osób. Za moment w świetle ognia rozpoznali znajome twarze ludzi z wioski, w której mieszkali ich dziadkowie.

– Ależ napędziliście nam stracha! – zakrzyknął ktoś z wielkiego tłumu. – Dobra, ludziska, możemy wracać.

Okazało się, że nie byli aż tak daleko od wsi, która – o dziwo – o tej porze pełna była przechadzających się mieszkańców. Kilka osób odprowadziło rodzeństwo do chaty ich dziadków. Staruszkowie podziękowali za pomoc w odnalezieniu dziatwy i surowo spojrzeli na chłopczyka i dziewczynkę.

Nazajutrz, kiedy emocje trochę już opadły, dziadkowie usiedli wspólnie z dziećmi, aby omówić, co wydarzyło się zeszłego dnia.

– Jest wina, więc musi być kara – zaczął spokojnie dziadek. – Srogo nabroiliście. Cała wieś was szukała! Zanim jednak odpokutujecie swój występek, dam wam szansę na wytłumaczenie się. Oby było to dobre usprawiedliwienie.

Jaś nie był w stanie nic powiedzieć. Oczy zaszyły mu łzami. Małgosia jako starsza zaczęła mówić. Początkowo nieco chaotycznie, ale koniec końców opowiedziała o znalezieniu mapy rzekomo prowadzącej do kwiatu paproci, o przygotowaniach do wyprawy, o tajemniczym przewodniku w lesie. Nie zapomniała dodać, że byli bardzo blisko odnalezienia rzeczonego kwiatu. Przecież widzieli już jego światło.

Staruszek zadumał się i odpalił fajkę.

– Mielicie sporo szczęścia, urwisy – przerwał po chwili ciszę. – Wielu śmiazków mierzyło się z tą legendą. Nikomu nie udało się odnaleźć skarbu. Niejeden został w lesie i słuch po nim zaginął. Niektórzy, którym udało się wrócić, postradali zmysły. Twierdzili, że słyszeli szepty i poblask poszukiwanej rośliny, wiodący ich głębiej w knieje. Nic jednak nie znaleźli. Pokażcie tę mapę – dodał na końcu.

Dziewczynka przekazała mu arkusz.

– Ach, kojarzę ten plan – powiedział z uśmiechem starszy pan. – Dawno temu narysowałem go waszemu ojcu. Był mniej więcej w waszym wieku. Wtedy też był żądnym przygód urwipolciem, ale na szczęście mu przeszło... – Zamilkł na chwilę. – Zapamiętajcie sobie jedną ważną rzecz – dodał, wstając z krzesła. Podeszedł do paleniska i wrzucił mapę w ogień. – Małe dzieci nie powinny wybierać się do lasu same. W ogóle nie powinny chadzać same. Wiele niebezpieczeństw czyha za rogiem. Nie tylko wredne skrzaty, podszeptujące ludziom głupie pomysły i sprowadzające ich z obranego szlaku – skwitował z kwaśnym grymasem.

Rodzeństwo zaniemówiło, otworzywszy szeroko usta z zaskoczenia.

– Ale jak to – wyrwał się Jaś – to one istnieją?

– Koniec pytań – odparł stanowczym głosem staruszek – Inaczej wszystko opowiem rodzicom.

Pozostałości po mapie dopaliły się w ogniu.